

ZYGMUNT KOMOROWSKI

WIELOKULTUROWOŚĆ WE WSPÓŁCZESNYCH SPOŁECZEŃSTWACH

(WYBRANE ZAGADNIENIA)

Potrzeba stworzenia cywilizacji uniwersalnej — upowszechnienia określonych wartości i dążeń — jest jedną z odwiecznych potrzeb ludzkości.

Współcześnie odczuwanie tej potrzeby jest jednak może szczególnie intensywne. Wynika to m. in. z uniwersalności postępu technicznego, ułatwień komunikacyjnych, kooperacji gospodarczej oraz tragicznych doświadczeń historii. Można nawet mówić o swoistym XX-wiecznym micie wielkich, nowych zjednoczeń. Następstwem tego mitu są współczesne próby tworzenia ogólnoświatowych związków:

- związków politycznych (czego wyrazem jest m. in. ONZ),
- związków religijnych (ŚRK),
- związków ideologicznych (różne tzw. międzynarodówki),
- związków kulturowych (międzynarodowe stowarzyszenia naukowe i artystyczne, komitety olimpijskie „négritude”, poznawanie obcych kultur itp.).

Uniwersalistyczne zespalandie świata dokonywać się może jednak na podstawie dwóch różnych zasad:

1. zacierającego różnice monizmu,
2. zakładającego symbiozę pluralizmu.

Koncepcja monistyczna prowadzi m. in. do tworzenia wielkich zespołów jednojęzycznych, jednonarodowych i jednowyznaniowych. Jej historycznymi przykładami mogą być — polityka *cuius regio, eius religio*.

Koncepcja pluralistyczna natomiast wiąże się z koegzystencją, federalizmem, tolerancją. Jej przykładów historycznych dostarczają założenia polityczne starożytnego imperium rzymskiego oraz stworzona przez Jagiellonów — jedyna w Europie — Rzeczpospolita Obojga Narodów.

W praktyce oczywiście ani monizm, ani pluralizm społeczno-kulturowy nie były nigdy realizowane w swej czystej formie. Targane sprzecznościami poczynania ludzkie bywały w jedną lub drugą stronę.

Z koncepcji pluralistycznej wynika poszanowanie odrębności kulturowych oraz czerpanie z tych odrębności pewnych wspólnych dla wszystkich stron

korzyści. Zakłada się bowiem, że odrębne kultury mogą się stykać, posiadać pewne elementy wspólne, a także uzupełniać się oraz wzajemnie pobudzać i inspirować. Poszczególne podmioty kultur — jednostki i grupy — mogą być przy tym, z korzyścią dla siebie, wielokulturowe.

Przez wielokulturowość rozumiemy na ogół równoczesne, aktywne przynależenie do więcej niż jednego kręgu kulturowego. Istotne przy tym nie jest to, że elementy kultury A przenikają do kultury B lub C, ale że wszystkie te kultury żyją i rozwijają się (choć zazwyczaj w różnych proporcjach) w obrębie tych samych osobowości.

Przeciwnieństwem wielokulturowości są procesy akulturacji i asymilacji.

Akulturacją przyjęło się nazywać proces zmian jednokierunkowych — jednostronne przejmowanie elementów pewnej kultury, uznanej za „wyższą”, przez kultury uznane za „niższe”, „mniej wartościowe”.

Asymilacja oznacza upodobnianie — wchłanianie jednej kultury przez drugą.

Najogólniej ujmując zagadnienie kontaktujące się kultury mogą separować się, wzajemnie zwalczać — wypierać lub pochłaniać, lub koegzystować w symbiozie (czyli w wielokulturowości).

Prof. M. Albiński, socjolog z uniwersytetu w Nijmegen (Holandia) zalicza do ważnych cech każdej kultury ciągłość kulturową, której głównym czynnikiem jest tzw. enkulturacja — przyciąganie i wchłanianie do swego kręgu. Enkulturacji poddawane są przede wszystkim młode pokolenia, jak również imigranci i konwertyci. Enkulturacja jednak nie wyklucza wielokulturowości. Zdolności ludzkie pozwalają bowiem jednostce poddawać się kilku enkulturacjom kolejno lub równocześnie — równolegle.

Francuski afrykanista Ludwik V. Thomas rozróżnia natomiast w kontaktach społeczno-kulturowych sześć możliwych postaw i wynikających z nich zachowań:

1. opozycję pasywną, czyli dążenie do izolacji,
2. opozycję aktywną, czyli zabieganie o własną „czystość” kulturową,
3. asymilację połączoną z konfliktem i rozprzężeniem jednej z kultur,
4. łączenie się i mieszanie, czyli dążenie do asymilacji bez konfliktów,
5. koegzystencję połączoną z obojętnością i
6. kooperację, czyli szukanie komplementarności.

Przykładów związanych z komplementarnością i kooperacją wielokulturowości znajdujemy na świecie wiele zarówno u jednostek (często wybitnych), jak i grup.

Wielokulturowi byli m. in. F. Chopin, F. Liszt, P. Picasso, P. Gauguin, B. Malinowski — że wymienię niektórych bardzo znanych. Wielokulturowi byli w ciągu wielu pokoleń Tatarzy, Ormianie czy Karaimi polscy, a także Żydzi.

Wielokulturowość występuje często u tzw. „mniejszości narodowych”, w diasporach. Prowadzą do niej zaś zwykle:

- a) mieszane małżeństwa,
- b) mieszany rodowód rodziców,
- c) studia w obcej szkole,
- d) długookresowe wyjazdy i pobyty w kręgu innej kultury.

Współczesne kraje świata można podzielić na dwa wielkie zespoły, w których społeczeństwa lub rządy:

1. prowadzą politykę ujednoczenia kultury — w imię nacjonalizmu, czy ideologii (np. islamizacji),
2. akceptują wielokulturowość, niekiedy nawet zagwarantowując ją w swych konstytucjach.

Podziały nie są sztywne — zmieniają się. Państwa o polityce wewnętrznej do niedawna zdecydowanie preferujące monizm, wstępują niekiedy na drogę pluralistycznego federalizmu. Poniekąd klasycznym tego przykładem jest po-frankistowska Hiszpania. Bywa też odwrotnie — np. w Nigerii autonomiczne stany przekształcają się teraz w ujednoczone okręgi administracyjne.

Wielokulturowość (multiculturalism) w wielu krajach stała się ostatnio słowem modnym. I tak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej mówi się teraz o zarzuceniu dawnej asymilacyjnej polityki „tygla” (melting-pot) na rzecz wielokulturowości. Sami Amerykanie doszli bowiem do wniosku, że „tygiel” był mało skuteczny, wywoływał zaś szereg społecznie szkodliwych zjawisk (kompleksów, zadrażnień, barier). Kanada poszła jeszcze dalej — ogłosiła się państwem „dwujęzycznym i wielokulturowym”. Teoretycznie każdej grupie etnicznej obywateli gwarantuje się tam zachowanie i rozwój własnej „kulturowej osobowości”.

Niestety, jak dotąd oficjalnie głoszona wielokulturowość, nie zawsze i nie wszędzie jest realizowana uczciwie i konsekwentnie. Niekiedy bywa ona tylko zasłoną dymną, mającą usypiać czujność przeznaczonych na wchłonięcie — zasymilowanie — partnerów. Kiedy indziej piękne zasady przypominają oderwany od rzeczywistości ozdobnik konstytucji. W Kanadzie już samo założenie, że wielokulturowość realizowana ma być w parze z dwujęzycznością — dopuszczającą do życia publicznego tylko dwa wybrane języki — jest co najmniej nieporozumieniem lub brakiem socjologicznego zorientowania.

To, co najważniejsze jest w każdym kręgu kultur rozwiniętych (narodowych) — awans kulturowy, sięganie do „wyższych rejestrów” — nie do pomyślenia jest przy odcięciu od języka, od literatury, publicystyki i całej związanej z językiem specyfiki myślenia. Wielokulturowe współzycie nie daje się też w żaden sposób pogodzić z brakiem wielojęzyczności. Kultury pozbawione językowego zaplecza nie mogą bowiem rozwijać się równolegle do kultur językowo uprzywilejowanych.

J.B. Rudnyckij, profesor z Uniwersytetu Manitoby (Kanada), uważa, że wielokulturowość kanadyjska, bez wielojęzyczności pozostaje frazesem na

papierze. Jako warunek zmiany tego stanu rzeczy proponuje on przy tym — choć dotąd jest to wołanie na puszczy — by każdy obywatel Kanady zobowiązany był do uczenia się, obok jednego z języków najpowszechniej używanych (tj. angielskiego lub francuskiego), także któregoś z języków „etnicznych grup mniejszościowych”. Tylko w ten sposób, jego zdaniem, powstać może faktycznie zespolona, wielokulturowa wspólnota.

Podobnego zdania są niektórzy przedstawiciele kanadyjskiej Polonii. Wiedzą oni dobrze, co pozostaje z naszej polskiej kultury, gdy pozbawia się ją własnych „wieszczów” i powieściopisarzy, odcina od słowa pisanego historyków i myślicieli, pozostawiając tylko sam sztyl („kultura polska”) oraz widowiskowe rekwizyty — w rodzaju krakowiaka, „kielbasy”, „bigosu” i czapki „rogatywki” z pawimi piórami. Odrzucenie z kultury rozwiniętej tzw. warstwy inteligentkiej spycha ją nieuchronnie na poziom folkloru, który nie może być dostatecznie atrakcyjnym dla osób już wykształconych i znających bogactwo innych kultur. Czyni ją swoistym „skansenem”, na równi z plemienną kulturą Eskimosów, czy Algonkinów, prowadząc młodzież polskiego pochodzenia do akulturacji i asymilacji bez reszty.

Paradoksem naszych czasów jest to, że wielkie i bogate państwa należące do „klubu” językowego kilku wybranych narodów wydają na tłumaczenia z obcych literatur znacznie mniej od państw małych i biednych. Wielcy i uprzywilejowani po prostu nie zadają sobie czasem trudu dostrzegania myśli wyrażanych w językach, ich zdaniem, drugo- czy trzecio-rzędnych. Skazuje to słabszych partnerów na dodatkowy wysiłek i koszt tłumaczenia samych siebie oraz usługowego podsuwania silniejszym i bogatszym własnych tłumaczeń, by tamci raczyli zainteresować się czymś spoza „bariery” językowej.

Nie tyle paradoksem, co sprawą bolesną jest natomiast nierówne traktowanie języka (a pośrednio i kultur) obserwowane czasem wśród braci chrześcijan. Zwiedzając kościoły Rzymu przed pontyfikatem Jana Pawła II, irytowałem się często tablicami informacyjnymi. Jakże nieproporcjonalnie mało tam było napisów polskich — mimo że czterdzieści kilka milionów (łącznie z diasporą) Polaków reprezentuje dziś większą część praktykujących chrześcijan niż np. Francuzi, a więcej katolików niż Niemcy. Jakiś polski tekst, nota bene sprzed I wojny światowej — w Santa Scala; jeden konfesjonał, gdzie można się wyświadczać po polsku i zwięźle „na kopulę” — w bazylice św. Piotra... to rażąco niewiele. Usiłowałem protestować. Odpowiadano mi jednak niezmiennie, że Polacy powinni przecież znać angielski, francuski, niemiecki. Pełno natomiast było tablic w języku hiszpańskim — choć przecież każdy Hiszpan bez trudu zrozumie napis włoski; pełno tablic niemieckich — choć absolutna większość turystów z Niemiec zna dziś też angielski lub francuski. Uważano widać, że pewne grupy nie obowiązują żaden, choćby najmniejszy wysiłek językowy — inne zaś wysiłek podwójny.

Sądzę, że nie przypadkowo ludzkość dzieli dziś dwa pogłębiające się

i brzemienne w następstwa kompleksy, dotyczące statusu kulturowego — kompleks wyższości jednych i niższości drugich. Oba utrudnią porozumienie, oba prowadzą do konfliktów. Przekonani o swej wyższości zamykają się bowiem na wymaginowanym Parnasie, poniżeni myślą zaś o rewanzu i usiłują wyżyć się na jeszcze „niższych” od siebie. Kompleksom tym zapobiec mogłaby wielokulturowość. Symbioza kultur zapewnia bowiem poczucie równości i bezpieczeństwa wynikającego z równego zainteresowania sobą partnerów. Z tej racji w pluralistycznej ludzkości żadna kulturowa grupa, choćby najliczniejsza i najbogatsza, nie powinna być zwalniana od wysiłku poznawania kultur grup mniej licznych, z którymi się styka, np. przez sąsiedztwo czy stosunki handlowe. Poznawaniu oczywiście musi towarzyszyć wzajemny szacunek i respekt. Jeżeli chcemy, by nam się kłaniano, odkłaniajmy się sami, jeżeli ukloniliśmy się, czekajmy na odkłonienie. Skoro na przykład w samolocie węgierskich linii lotniczych lecącym do Paryża, zapowiedź lotu ogłasza się w językach węgierskim i francuskim, to te same dwa języki powinny być użyte przez „Air-France” na linii do Budapesztu. Ktoś powie, że Francuzów jest przeszło pięć razy więcej niż Węgrów. Właśnie — tym bardziej, bo wystarczy, by niewielki tylko odsetek obywateli tego kraju zechciał uczyć się węgierskiego, a równowaga zostanie zachowana — uklon węgierski w stronę kultury francuskiej będzie odwzajemniony, a Francuzi będą wreszcie bez pośredników, od swoich rodaków będą wiedzieć, co się dzieje w kulturze naddunajskiego państwa.

My Polacy również nie powinniśmy zapominać o znajomości zarówno języka, jak i kultury mniejszych narodów — zwłaszcza sąsiadów, z którymi w praktyce życiowej spotykamy się nieraz częściej niż z dalekimi „wielkimi” narodami. Ilu z nas uczy się czeskiego, słowackiego, czy ukraińskiego — choć nie jest to dla nas trudna nauka? Ilu zna węgierski lub rumuński — choć co roku jeździ na Węgry i nad Morze Czarne? Co wiemy o spokrewnionej z naszą literaturą literaturze litewskiej, czy pieśniach białoruskich?

Jeżeli ma powstać i istnieć świat wielokulturowy, to nie może w nim zabraknąć nikogo. Im zaś ktoś ma lepsze mniemanie o własnej kulturze, to tym więcej wysiłku powinien wkładać w poznawanie i zbliżanie się do kultur „bliźnich”, innych narodów.

Wielokulturowość jednak to nie tylko równoczesny udział w paru wyraźnie wyodrębnionych kulturach, takich wielkich grup, jak narody. Ma ona także swój „mikrokosmos” — swoje maleńkie wewnętrzne konstelacje, związane z kulturalną autonomią drobnych zespołów i jednostek. W skali mikro również trzeba się zbliżać, poznawać, szanować.

Tak zwanym kręgom społecznym i małym grupom nieformalnym przypisuje się często szczególną skłonność do uniformizmu. Rzeczywiście jest on tu zjawiskiem powszechnym. Przestrzegając bowiem pewnych form bycia chcemy, by i nasze otoczenie przestrzegało tego samego. Ceniąc coś, pragniemy, by osoby z naszego najbliższego środowiska też to ceniły. Dobieramy sobie więc

społeczne otoczenie i wpływamy na społeczne środowisko. Ale w otaczających każdego z nas kręgach i małych grupach występuje też zjawisko będące odwrotnością tendencji uniformistycznych — zaciekawienie tym, co odróżnia od nas partnerów, co jest w tamtych „inne”, niezwykle. Ku osobowości pewnych jednostek i ku pewnym grupom pociąga nas nie co innego, tylko odrębność dostrzeżonej tam kultury.

Obserwując tę „inną” kulturę i starając się ją zrozumieć zaczynamy z czasem w niej uczestniczyć. W rezultacie dochodzi do naszego zaangażowania w specyfikę kulturową szeregu różnych zespołów — zawodowych, ludycznych, hobbystycznych itp. W codziennej pracy możemy akceptować system wartości i zwyczaje grupy urzędniczej, popołudniami jednak, identyfikując się z amatorskim zespołem artystycznym, włączać się do subkultury cyganerii artystycznej lub uprawiając sport do subkultury sportowców. Wychodząc z getta jednego kręgu kulturowego i uczestnicząc naraz w wielu kręgach stajemy się przy tym swoiście wielokulturowi, tyle że w skali mikro.

We współczesnym społeczeństwie polskim niewiele już jest ściśle zamkniętych gett towarzyskich. Nie zawsze jednak dostatecznie uświadamiamy sobie w ilu specyficznych kulturach i podkulturach każdy z nas uczestniczy — jak wiele „kulturowych zakątków” dziedziczy i zachowuje ta nasza powszechna kultura polska, w którą uwikłane są osobowości nasze, naszych kolegów i znajomych.

Pod wpływem różnych monistycznych koncepcji, a także przez pewien etnocentryzm nie dostrzegamy też czasem wielości „obcych” elementów zachowujących swoje autonomiczne zakątki w każdej kulturze. Kultura traktowana bywa przez nas niesłusznie jako monolit, w którym wprawdzie występują różne poziomy i odchylenia, ale który ulepiony został z rzekomo jednego materiału. Tak zaś z reguły nie jest. Kultura każdej jednostki bowiem to wielkość objęta symbiozą.

Większość z nas Polaków zespala np. w swej osobowości elementy:

- 1° polskiej kultury narodowej (jak każda kultura narodowa — mieszanego pochodzenia),
- 2° subkultur kręgów towarzyskich i zawodowych oraz warstwy społecznej, do których należy,
- 3° uniwersalistycznej kultury chrześcijańskiej,
- 4° regionalnej subkultury miejsca zamieszkania lub regionu pochodzenia (czasem pochodzenia rodziców),
- 5° poznanych i przyswojonych — m. in. w szkole — kultur innych narodów, a także innych religii, innych warstw i innych regionów.

Każdy element jest tu małym wciąż zmieniającym się, wzbogacającym lub przekształcanym światem, albo posiadłością. Każdą „posiadłość” można wymieniać jak dziedziczne włości monarchy — gdy król polski pisał się „litew-

skim, pruskim, ruskim, inflanckim, mołdawskim, mazowieckim etc. etc." Ważne, by to sobie uświadamiać.

Koegzystujące, w każdej ludzkiej osobowości i w każdej grupie, kultury nie tworzą układów statycznych. Każda z nich toczy się swoistym, żywym nurtem. Procesy wielokulturowej symbiozy też więc toczą się i żyją. Życie to jednak może być bądź spontaniczne, nieuregulowane, bądź podlegać naszej świadomej kontroli i sterowaniu. Sterując zaś możemy mieć na uwadze bądź tylko swój interes osobisty, jednostki i osób najbliższych, bądź szerzej — interes narodu i całej ludzkości. Chrześcijanin powinien powiedzieć — „interes” sprawy Bożej.

Tu dochodzimy do kolejnego zagadnienia współczesnej wielokulturowości — wielkości światopoglądów i wyznań. Czy chrześcijanin, katolik, w tym przynajmniej zakresie, nie powinien opowiadać się za rozwiązaniem monistycznym?

Sądzę, że w sprawie tej wiele do powiedzenia będą jeszcze mieli teologowie. Powszechnie mniema się, że skoro jest jeden Bóg, to jedna tylko może być religia „prawdziwa”, jedna wykładnia i jedna droga do Prawdy. Jak wiemy jednak, w niedoskonałej mowie ludzkiej, wyrażalne są zawsze tylko sprawy bardzo ograniczone; można więc mówić o tym samym, w różny sposób i nie koniecznie sobie przeczyć. R. Benedict przyrównuje kultury poszczególnych ludów do różnych kubków danych przez Stwórcę do czerpania ze wspólnych źródeł życia. Autor chrześcijański A. J. Cronin pisze natomiast pięknie o wielu bramach, przez które się wstępuje, by dojść do tego samego ostatecznego celu.

Założeniem ekumenizmu — założeniem niestety przez wiele wieków nieakceptowanym przez większość „wierzących” — jest to, że światopoglądy i wyznania, po części przynajmniej, różnią się tylko kulturowo i historycznie uformowanym „językiem”. Różnice werbalne i formy obrzędów — symbole, wyobrażenia, manifestacje — nie muszą przy tym przysłaniać wspólnoty zasadniczego dążenia, w tym samym kierunku.

Mówiąc o wielokulturowości religijnej, chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę na parę, moim zdaniem, znamienych dla naszej współczesnej epoki, faktów:

1. Ruch ekumeniczny, zapoczątkowany przez rozszczerzone od lat kilkuset wyznania chrześcijańskie, zatacza obecnie coraz szersze kręgi. Mówi się już o „szerokim ekumenizmie” — obejmującym wszystkie religie monoteistyczne (wrosłe przecież też z jednego abrahamowego i dawidowego pnia), wszystkich chrześcijan, muzułmanów i żydów. Inicjatywa przy tym nie spoczywa wyłącznie w jednym ręku. Jak wiemy, jeden z przywódców muzułmańskich w liście do papieża Pawła VI nazwał niedawno głowę Kościoła, całkiem poważnie, „muzułmaninem”.

2. Religioznawcy coraz częściej wyrażają pogląd, że absolutny politeizm,

tak jak i bałwochwalstwo, nie istnieje. We wszystkich znanych nam religiach spotykamy pojęcie pozaziemszej Istoty Najwyższej. Bożkowie z reguły są tylko hipostazą, bądź duchami, pośrednikami, nad którymi jest Ktoś Jeden i Wszechwładny.

3. Przynajmniej niektórzy nominalni „ateiści” również szukają Prawdy — tego samego co my Absolutu. Niektórzy z nich utrzymują przy tym, że ich „ateizm” polega na nie mówieniu o tym, co z istoty swej jest niewyrażalne. Wydaje mi się, że przypominają oni w tym miejscu dawnych kapłanów żydowskich, którym tylko raz do roku wolno było wymówić imię Boga. Może to być reakcją na nadużywanie Imienia Bożego, przez niektórych „wierzących”.

„Bezwyznaniowcy” i mieniący się „ateistami” utrzymują też czasem, że modlą się — tyle, że nie słowami, ale uczuciem i czynem, aprobując wspólną z chrześcijanami zasadę miłości bliźniego. U niektórych z nich z całą pewnością nie są to puste zapewnienia.

W przypadku gdy odrębne wyznania i światopoglądy zabiegają o to samo (doskonalenie duchowe człowieka), a różnią się tylko metodami i technikami, nic nie zdaje się stać na przeszkodzie, by jednostka korzystała równocześnie z wielu różnych metod i technik. Szczęśliwi ci, którzy się modlą wszędzie — w kościele, w cerkwi, w synagodze i meczecie, nad morzem i na szczytach gór... gdziekolwiek się znajdują sami, lub w gronie innych ludzi również się modlących. Nie zapomnę nigdy następującego wydarzenia sprzed lat paru w Warszawie. Oprawdając pewnego pracownika UNESCO, Afrykanina z Mali, zaprowadziłem go do kościoła św. Krzyża, gdzie mieści się urna z sercem F. Chopina. Po wejściu do świątyni Afrykanin uklęknął i modlił się długą chwilę.

— Nie wiedziałem, że pan jest chrześcijaninem — zagadnąłem go po wyjściu.

Zachnął się:

— Nie, wyznaję islam; jestem z rodziny muzułmańskiej. Ale Bóg jest jeden — brzmiała jego odpowiedź.

Pomyślałem wtedy o niektórych chrześcijanach wzbraniających się zdejmowania obuwia przy wejściu do meczetów (np. w Bułgarii lub Jugosławii).

Teoretycznie wielokulturowość dotycząca religijnego, duchowego aspektu kultur jest tak samo możliwa, jak każda inna. W praktyce spotyka się ją względnie rzadko, ale jednak spotyka. Osobiście spotykałem się z nią szereg razy w Afryce — w wielkim przemieszaniu gorliwych chrześcijan, muzułmanów i animistów m. in., we wspólnotach tworzonych przez Małych Braci O. de Foucauld. Spotykamy ją także u nas w Polsce... na pogrzebach; w obliczu wydarzenia tak wielkiego jak śmierć osób bliskich innego wyznania. Zwyczaj odprowadzanie zmarłych i uczestniczenie w obrzędku ustalonym przez ich osobistą lub rodzinną kulturę duchową jest przejawem niewątpliwie naszej wielowiekowej tolerancji — ale nie tylko tolerancji. Ateusze uczestni-

czą w mszy żałobnej, katolicy żegnają się razem z prawosławnymi, chrześcijanie klękają obok żydów i razem z nimi pochyłają głowy — naśladować swoje gesty, zgodnie z obrządkiem tego, kogo zdecydowali się odprowadzać. — Wydaje mi się to zawsze bardzo piękne i bardzo optymistyczne — przyszłościowe.

LE MULTICULTURALISME DANS LES SOCIÉTÉS CONTEMPORAINES

PROBLÈMES CHOISIS

Résumé

Le besoin de créer une Civilisation Universelle semble se faire au XX^e s. de plus en plus impérieux. Il suscite de nos jours des tentatives de constituer des communautés dans différents domaines, depuis la religion et la politique jusqu'à la culture. Cependant deux principes opposés peuvent présider à cette intégration: 1° un monisme destructeur de différences, 2° un pluralisme impliquant la symbiose.

La conception moniste amène l'acculturation et l'assimilation. La conception pluraliste, respectueuse de particularités culturelles, crée des liens complémentaires, promeut la coopération et le multiculturalisme. Celui-ci consiste à laisser vivre et se développer harmonieusement diverses cultures au sein d'un groupe ou d'une personnalité. Il peut revêtir diverses formes et avoir une portée différente. On n'en prend pas toujours conscience, parfois — au contraire — on en abuse comme d'un slogan sans valeur. La réalisation conséquente des principes de multiculturalisme pourrait prévenir nombre de complexes de supériorité et d'infériorité, qui ne cessent pas de compliquer les rapports entre les hommes.

Le multiculturalisme sur le plan religieux constitue un problème à part, qui attend d'être discuté, aussi par les théologiens et les sociologues. A la base l'oecuménisme il y a l'opinion que les „Weltanschauungen" et les confessions ne diffèrent, en partie, que par la culture et le „langage" historiquement conditionné. Pour réaliser l'oecuménisme, il faut d'abord, évidemment, se débarrasser de nombreux préjugés accumulés des siècles durant, se connaître et se respecter mutuellement. Ceci ne se produit pas automatiquement. Ce qui peut cependant servir la cause du rapprochement, c'est la participation aux cérémonies concernant des amis, par exemple lors de l'enterrement de morts ayant appartenu à une autre confession: les représentants de religions différentes et de „Weltanschauungen" distincts vivent la liturgie de celui d'entre eux qui vient d'être appelé à Dieu.